

TOP 20
AMAZON EDITOR'S
BEST BOOK OF 2025

BESTIA w CHMURACH

ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNA WYPRAWA BRACI ROOSEVELTÓW W POSZUKIWANIU LEGENDARNEJ PANDY WIELKIEJ





NATHALIA HOLT

Tytuł oryginału: *The Beast in the Clouds: The Roosevelts Brothers' Deadly Quest to Find the Mythical Giant Panda*
Tłumaczenie z języka angielskiego: Tomasz Lanczewski
Adiustacja i korekta: Artur Figarski
Projekt składu i skład: Artur Figarski
Projekt okładki: na podstawie wydania oryginalnego, licencja od Simon & Schuster
Wykonanie mapy na stronie 8: Graham Snow @mapograham

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji. Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.
Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Jacek Włodarczyk Book Marketing Research Sp. z o.o.

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
e-mail: *kontakt@wydawnictwosploty.pl*
WWW: wydawnictwosploty.pl

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
wydawnictwosploty.pl/user/opinie/beschm
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I, 2026

ISBN 978-83-289-3547-1

Copyright © 2025 by Nathalia Holt
Originally published by One Signal Publishers/Atria Books, an Imprint of Simon & Schuster, LLC

Polish edition copyright © 2026 by Helion S.A.

Printed in Poland.

Kup książkę
Poleć książkę

SPIS TREŚCI

PROLOG. OSTATNI WIELKI SSAK 9

1. SZCZĘŚLIWA DOLINA 21
2. DOLINA ŚMIERCI 45
3. SADZAWKA CRIMA 59
4. OKAPY ŚWIATA 71
5. DOM KSIĘCIA 91
6. NA POŁUDNIE OD CHMUR 107
7. KUŹNIA STRZAŁ 133
8. PEŁNE NIEBO 149
9. KRÓLESTWO ZŁOTEJ MAŁPY 169
10. ŚWIĄTYNIA PIEKIEŁ 187
11. KRAJ YI 211
12. SALA AZJATYCKICH SSAKÓW 233
13. LETNI BIAŁY DOM 257

EPILOG. KRES SZLAKU 277

PODZIĘKOWANIA 286
PRZYPISY 289
INDEKS 330

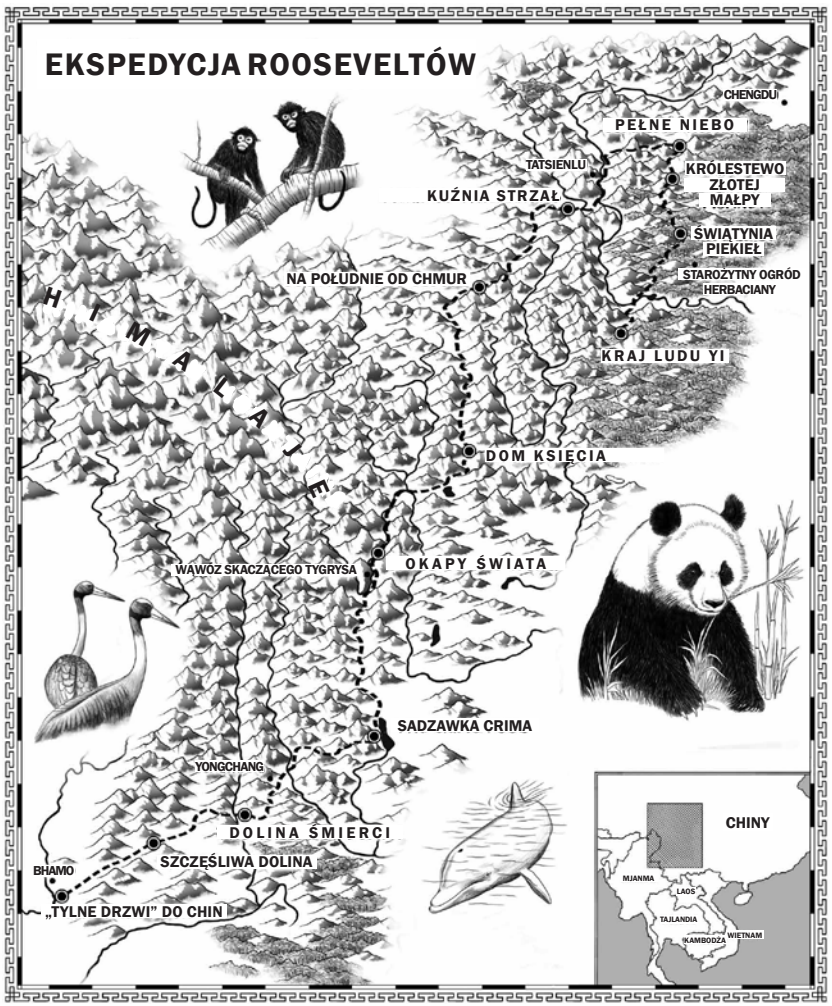

PROLOG

OSTATNI WIELKI SSAK

Dwaj bracia wygładzili mapę rozłożoną przed nimi na stole. Ziemie, które badali, zaznaczone były odcieniami zieleni, brązu i szarości. Przez mapę, niczym tygrysie pasy, biegły nieregularne białe plamy. Każda z nich oznaczała nieznane – fragment mapy wciąż niezbadany i nieopisany. Jedną z nich przecinała wijąca, kropkowana linia rzeki, opisana drobnym drukiem jako nieznana. Był rok 1928, a świat wciąż przypominał szachownicę cudów – kontynenty nie zostały jeszcze dokładnie poznane.

Ted i Kermit Rooseveltowie, dwaj najstarsi synowie byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Theodore'a Roosevelta, planowali kolejną wyprawę. Choć korzystali z map sporządzonych przez kartografów z różnych stron świata, w tym także z Chin, niezbadane obszary wciąż się na nich pojawiały. Ogromny kontynent azjatycki, usiany białymi plamami, przemawiał do nich szczególnie mocno.

Świat był pełen odkrywców – wszyscy pochylali się nad podobnymi mapami, jakie mieli Rooseveltowie. Panowało wśród nich upajające, optymistyczne przekonanie, że wszystko jest jeszcze możliwe. Nikt nie miał pewności, która góra na Ziemi

Kup książkę
Poleć książkę

jest najwyższa ani który rów oceaniczny jest najgłębszy. Każda wyprawa niosła ze sobą szansę, że jej uczestnicy zapiszą się w historii jako sławni na cały świat odkrywcy.

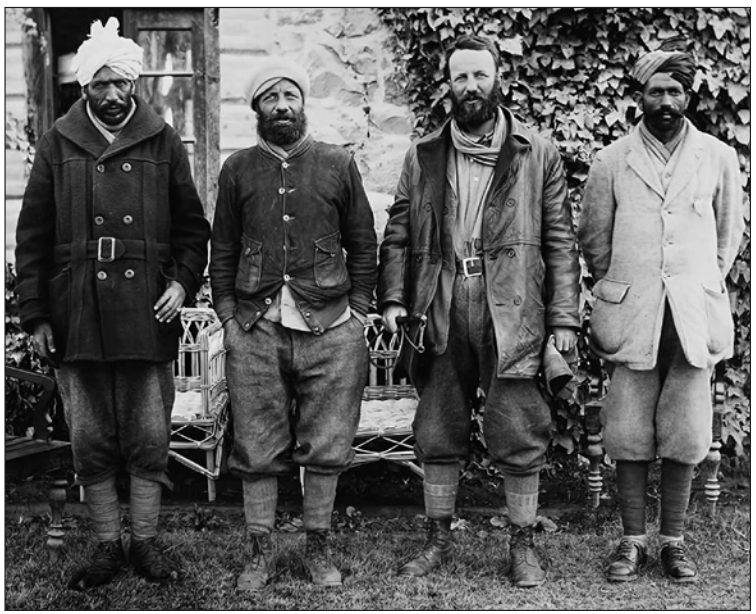

Ted i Kermit Rooseveltowie, 1926 r., dzięki uprzejmości Biblioteki Kongresu.

Lata dwudzieste XX wieku były dekadą odkryć. Grupy naukowców, poszukiwaczy przygód i myśliwych wyruszały w dzikie ostępy, by uzupełniać kolekcje muzealne. Odnosili sukcesy: każdy duży ssak na Ziemi został już pozyskany, a jego ciało wypreparowane i wystawione w gablocie – z wyjątkiem jednego.

Rooseveltowie pragnęli tego jednego zwierzęcia tak intensywnie, że z trudem byli w stanie rozmawiać o nim nawet

między sobą, a co dopiero z kimkolwiek innym. „Nie zdradziliśmy naszego celu nawet najbliższym przyjaciołom" – pisał Ted. Niektóre marzenia, wypowiedziane na głos, brzmią zbyt szalenie. Zwierzę, którego pożądali bracia Rooseveltowie, nie przypominało żadnego innego gatunku na świecie. Był to czarno-biały niedźwiedź, tak rzadki, że wielu ludzi w ogóle nie wierzyło w jego istnienie. To legendarne stworzenie nazywano pandą wielką. Wokół tajemniczego zwierzęcia krążyły jedynie pogłoski. Nikt – nawet przyrodnicy, którzy całe życie spędzili w Chinach – nie potrafił powiedzieć z całą pewnością, gdzie żyje, czym się odżywia ani jak się zachowuje.

Brunatne, czarne i polarne niedźwiedzie nigdy nie budziły wśród ludzi wątpliwości. Nawet niedźwiedzie polarne, choć żyjące w odległych rejonach Arktyki, były dobrze znane i od tysięcy lat trzymane w ogrodach zoologicznych. Już w 285 roku p.n.e. król Egiptu Ptolemeusz II posiadał takiego niedźwiedzia w swoim zoo w Aleksandrii. W 1252 roku niedźwiedź polarny był częścią rozległej menażerii zwierząt prezentowanej w londyńskiej Tower.

Tego samego nie można było jednak powiedzieć o pandzie. Nawet wśród mieszkańców Republiki Chińskiej, rozciągającej się na około 7,7 procent powierzchni lądów Ziemi, niewielu kiedykolwiek widziało to zwierzę na własne oczy. Do opisu istoty, która być może była pandą, używano dziesiątek nazw. W różnych dialektach nazywano ją „cętkowanym niedźwiedziem", „wielkim kotoniedźwiedziem", „białym niedźwiedziem" czy „bambusowym niedźwiedziem" – choć nikt nie miał pewności, czy wszystkie te określenia odnosiły się do jednego i tego samego gatunku. Prawdopodobne wzmianki o pandzie wielkiej pojawiały się w literaturze chińskiej już w III wieku, lecz miały charakter mityczny: opisywano w nich

Kup książkę
Poleć książkę

żółto-czarne stworzenia, które pożerały miedź i żelazo. „Choć istnieją interesujące opowieści sugerujące, że jeden czy drugi cesarz Chin wiedział wszystko o pandach" – pisał jeden z autorów – „pozostaje do rozwiązania jedna wielka zagadka: dlaczego zatem w całej ilustrowanej historii przyrody cesarskich Chin nie ma ani jednego wizerunku tego ujmującego zwierzęcia?"

Dla ludzi Zachodu jedynym dowodem istnienia pandy była jej skóra. W 1869 roku francuski misjonarz Armand David, przebywający w odległych górach w pobliżu Chengdu, zatrudnił grupę myśliwych i wysłał ich w dzicz, prosząc, by przynieśli interesujące okazy. Jeden z nich wrócił z martwym ciałem dziwnego zwierzęcia – niewielkiego, jakby młodego osobnika, o niezwykłej czarno-białej sierści, jakiego nigdy wcześniej nie widziano. David dokładnie obejrzał zwierzę, po czym je wyprawił i wysłał tę unikalną skórę aż do Paryża, by mogli ją zbadać eksperci.

Nadał temu osobliwemu stworzeniu naukową nazwę *Ursus melanoleucus* – czyli „czarno-biały niedźwiedź". Nazwa ta jednak się nie przyjęła. W odkryciu Davida niewiele było bowiem naukowej rzetelności. Skóra, choć kontrastowa i zupełnie inna niż wszystkie okazy posiadane przez paryskie muzeum, nie wystarczała, by uczeni uwierzyli w istnienie tego osobliwego nowego gatunku. Skóra bez szkieletu mogła być dosłownie wszystkim. Z pewnością nie zamierzano nadawać nazwy nowemu gatunkowi na podstawie reliktu, który – jak sądzono – zaledwie garstka chińskich myśliwych widziała kiedykolwiek żywego. Pozostawał jedynie mglisty opis czarno-białego niedźwiedzia i niewielki fragment futra przechowywany w muzealnych magazynach.

Do tej pory bezimienne, nieuchwytne zwierzę zaczęto nazywać pandą, choć i ta nazwa pozostaje zagadkowa. Pojawiła

się około 1870 roku i przypuszczalnie ma francuskie pochodzenie, choć teza ta bywa kwestionowana. Niektórzy badacze wywodzą ją z nepalskich słów określających pandkę rudą – *nigalya ponya*. Choć biologicznie niepowiązana z pandą wielką, pandka ruda była dobrze znana w Azji Południowo-Wschodniej i została opisana przez Europejczyków już w 1825 roku.



Dziewiętnastowieczna ilustracja pandy wielkiej autorstwa Alphonse'a Milne-Edwardsa.

W 1916 roku grupa niemieckich odkrywców podróżowała po Chinach i Tybecie. Ich celem był legendarny czarno-biały niedźwiedź, lecz bez względu na to, jak intensywnie go poszukiwali, nie potrafili znaleźć żadnych śladów jego istnienia. W niewielkiej wiosce Lianghoku przywódca wyprawy, niemiecki uczony Walther Stozner, poprosił miejscowych myśliwych, by przynieśli im pandy – żywe lub martwe. Zgodnie z pisemną relacją uczestników ekspedycji myśliwi wrócili z kilkoma martwymi pandami oraz jednym bardzo młodym

Kup książkę
Poleć książkę

pandziątkiem. Niemcy próbowali karmić oseska mlekiem, potem papką z mąki, a w końcu sprowadzili nawet kobietę, która miała go karmić piersią. Niestety wszystkie próby ratunku zakończyły się niepowodzeniem. Kilka dni później, w ramionach pierwszego człowieka z Zachodu, który zobaczył żywą pandę, zwierzę padło. Do Europy nie przywieziono jednak żadnych okazów, więc sceptycyzm w kwestii istnienia tego gatunku trwał nadal.

Potem, w 1919 roku, misjonarz Joseph Milner przekazał Amerykańskiemu Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku niezwykły dar. „Panda wielka" – głosiło ogłoszenie w muzealnym czasopiśmie „Natural History" – „ze wschodniego Tybetu, jedno z najrzadszych zwierząt na świecie. […] Wyjątkowa czarno-biała sierść, krótki pysk i osobliwe czarne plamy wokół oczu nadają mu niezwykły wygląd. O zwyczajach tego zwierzęcia nie wiadomo niemal nic". Sam Milner – w tym przypadku jedynie odgrywający rolę pośrednika – nie potrafił dodać nic więcej na temat eksponatu, lecz nawet sama skóra pandy wystarczyła, by rozpalić wyobraźnię naukowców. Oto był namacalny dowód, że to zwierzę naprawdę istnieje.

Natychmiast zaczęto organizować kolejne wyprawy w poszukiwaniu pandy. Wszyscy wiedzieli, że ten, kto znajdzie ją jako pierwszy, zyska natychmiastową sławę – zarówno w świecie nauki, jak i w prasie – dlatego liczba ekspedycji wyruszających do Chin gwałtownie wzrosła. Jednak nawet najbardziej doświadczeni odkrywcy wracali z niczym. Z biegiem lat narastał cynizm, a wielu zaczęło podejrzewać, że stworzenie to w ogóle nie istnieje – że jest jedynie czarno-białym widmem, nasłanym po to, by zwodzić i dręczyć swoich poszukiwaczy.

Minęło dziesięć lat, a legenda mitycznej pandy wciąż rosła. Dla większości odkrywców udokumentowanie istnienia

zwierzęcia wydawało się zadaniem beznadziejnym. Celem nie było już nawet samo upolowanie niedźwiedzia – choć i to byłoby w tamtym czasie przyjęte z ulgą – lecz powrót ze szczegółowym opisem jego siedliska i diety, tak aby można było zaprezentować zwierzę opinii publicznej i ostatecznie dowieść jego istnienia. Ted i Kermit, doświadczeni myśliwi, lecz nowicjusze w dziedzinie nauki, wydawali się wyjątkowo mało prawdopodobnymi kandydatami do wstrząśnięcia światem swoimi odkryciami.

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej słynęło z wysyłania poszukiwaczy przygód w nieznane. Związki Teda i Kermita z tą instytucją były dość głębokie: ich dziadek był jednym z jej współzałożycieli, a ich sławny ojciec, Theodore Roosevelt, pomógł zapełnić muzealne sale lwami, tygrysami, słoniami i niedźwiedziami. Nawet Kermit miał w tym swój udział. W 1909 roku, jeszcze jako student, towarzyszył ojcu podczas wyprawy do Afryki. Cielę słonia, które wówczas upolował, stanęło w samym centrum Sali Afrykańskich Ssaków, otoczone przez siedem dorosłych osobników, a wszystkie zastygłe w pozie przypominającej moment szarży.

Choć za życia młody słoń ważył blisko sto kilogramów, na tle swojej rodziny wyglądał na niewielkiego. O ile dorosłe słonie, ze swymi masywnymi ciałami, ostrymi ciosami i uniesionymi trąbami, często przerażały odwiedzające muzeum dzieci, o tyle cielę niezmiennie przyciągało tłumy młodych wielbicieli. Niektórzy z nich zaglądali w jego szklane oczy i marzyli, że pewnego dnia sami zostaną odkrywcami lub naukowcami.

Gdy Kermit patrzył na to zwierzę, wracał myślami do tamtej chwili, gdy miał zaledwie dziewiętnaście lat i rozpaczliwie pragnął zdobyć uznanie ojca. Ten tłumaczył mu wówczas, że nie jest to zwykła wyprawa myśliwska, lecz ekspedycja

Kup książkę
Poleć książkę

naukowa. „Można mnie potępiać" – argumentował były prezydent – „tylko wtedy, gdy należałoby potępić istnienie Muzeum Narodowego, Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej oraz wszystkich podobnych instytucji zoologicznych".

Zabijanie zwierząt w imię ochrony przyrody może dziś wydawać się osobliwym, a nawet okrutnym pomysłem, lecz filozofia Roosevelta nie była w owych latach niczym niezwykłym. Ówcześni przyrodnicy celowo zabijali zagrożone gatunki – najlepiej całe rodziny – w imię nauki. Nawet Charles Darwin, ojciec biologii ewolucyjnej, był zapalonym myśliwym i używał swojego arsenału strzelb do pozyskiwania okazów. W 1833 roku w Urugwaju odłowił kilka gatunków jeleni, które w późniejszych latach znalazły się na liście zwierząt zagrożonych wyginięciem.

Dla tych, którzy polowali na zwierzęta znajdujące na krawędzi wymarcia, logika była jasna: jeśli gatunek i tak był skazany na zagładę, nie miało sensu chronić ostatnich żyjących osobników. Natura dokonała już wyboru. Należało więc dowiedzieć się o danym gatunku jak najwięcej. Oznaczało to – niestety – konieczność zabicia zwierzęcia, by móc je zbadać metodami naukowymi. Choć dziś interwencja człowieka pozwala chronić niektóre, choć nie wszystkie, zagrożone gatunki, jest to możliwe tylko dzięki fundamentom położonym przez badaczy minionych stuleci. Bez zrozumienia podstaw biologii danego gatunku nie byłoby narzędzi, by go ocalić.

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej zgadzało się z tym podejściem, pisząc: „Gdyby jakiś interesujący ssak zniknął z powierzchni Ziemi, zanim można by przygotować i zachować trwały, materialny zapis jego istnienia dla potomnych, muzea rzeczywiście zawiodłyby w wypełnianiu swojego obowiązku". Nie wspominano jednak o tym, że muzea zapełniają

swoje sale i opłacają rachunki nie skomplikowanymi nazwami naukowymi, lecz tłumami ludzi spragnionych widoku dziwnych i egzotycznych zwierząt.

Na początku lat dwudziestych nowojorskie muzeum sfinansowało wyprawy na wszystkie kontynenty, a jego sale wypełniły się niezwykle różnorodnymi okazami. Większość zbiorów pozostawała jednak poza wzrokiem publiczności – około 90 procent muzealnych kolekcji przechowywano w magazynach. Mimo to ekspedycje przynosiły ogromne korzyści nauce, poszerzając wiedzę o bioróżnorodności, ewolucji i ochronie przyrody. Opisy terenowe dostarczały informacji o napotykanych gatunkach, lecz to fizyczne okazy miały największą wartość: stanowiły dowód odkryć i dostarczały podstawowych danych morfologicznych – takich jak krzywizna żuchwy czy długość kręgosłupa – pozwalających śledzić zmiany ewolucyjne. Zbiory te miały stać się fundamentem przyszłej biologii konserwatorskiej.

Choć nazwisko Rooseveltów pojawiało się w nowojorskich salach muzealnych wielokrotnie, ta czcigodna instytucja nie sponsorowała wyprawy Teda i Kermita. Żaden z braci nie udowodnił jeszcze, że jest naukowcem lub odkrywcą. Zamiast tego szansę dało im chicagowskie Muzeum Historii Naturalnej Fielda. Finansowanie ekspedycji zapewnił przedsiębiorca z Illinois, William Vallandigham Kelley. Muzea były uzależnione od hojnych darczyńców – to ich pieniądze fundowały sale i wystawy noszące ich nazwiska, nawet jeśli sami sponsorzy nigdy nie postawili stopy na żadnym szlaku.

Najbogatsi Amerykanie – Rockefellerowie, Carnegie, Astorowie, Whitneyowie i Vanderbiltowie – w latach dwudziestych opływali w bogactwa. Wartość akcji w ciągu dekady wzrosła czterokrotnie, osiągając niespotykane wcześniej poziomy,

Kup książkę
Poleć książkę

a rynek zdawał się skazany na nieustanny wzrost. Filantropi chętnie sponsorowali wyprawy, które mogły zakończyć się efektownymi ekspozycjami muzealnymi, gdzie ich nazwiska pojawiały się w prasie i lśniły na mosiężnych tabliczkach.

W epoce pozłacanego wieku Ameryki te wpływowe rody zgromadziły niewyobrażalne fortuny. Najbogatszy człowiek świata, John D. Rockefeller, wart był – w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze – około 400 miliardów dolarów. Podobnie J.P. Morgan dysponował takimi zasobami gotówki, że dwukrotnie wzywano go na pomoc w ratowaniu budżetu rządu federalnego. Dopiero sto lat później, w erze miliarderów technologicznych, Stany Zjednoczone miały ponownie zobaczyć tak ogromne bogactwo skupione w rękach tak nielicznych osób. Nierówności majątkowe dziś znów osiągają szczyt – udział aktywów należących do najbogatszych 0,1 procent społeczeństwa jest identyczny jak w czasach szalonych lat dwudziestych.

„Ani Kermit, ani ja nie możemy pozwolić sobie na sfinansowanie tej wyprawy z własnej kieszeni" – przyznawał Ted, gdy planowali trasę. Majątek braci wcale nie był tak pokaźny, jak powszechnie sądzono. Ich ojciec, Theodore Roosevelt, odziedziczył po swoim ojcu 60 tysięcy dolarów w 1878 roku. Niespełna dekadę później stracił większość fortuny podczas ryzykownej inwestycji w hodowlę bydła na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Gdy zmarł w 1919 roku, jego majątek skupiał się głównie w trzydziestu dwóch hektarach ziemi na Long Island, które stopniowo wyprzedawał, by zdobywać gotówkę. Ziemia i większa część majątku przypadły jego żonie Edith, a pięcioro dzieci podzieliło między siebie fundusz powierniczy w wysokości 60 tysięcy dolarów – dziś wart około 1,5 miliona. Ted i Kermit odziedziczyli po 12 tysięcy dolarów każdy: kwotę ogromną jak na tamte

czasy, lecz niewystarczającą, by uczynić ich niezależnymi finansowo. Mieli jednak pewne doświadczenie w organizowaniu wypraw – i to nie tylko u boku ojca o niemal mitycznej renomie.

W 1925 roku Muzeum Fielda sfinansowało wyprawę braci do Azji Środkowej. W czasie gdy Percy Fawcett zaginął w Amazonii, a Roald Amundsen prowadził pierwszą lotniczą ekspedycję nad biegun północny, wędrówki najstarszych synów prezydenta Roosevelta po obecnych Indiach i Pakistanie w poszukiwaniu nieuchwytnej owcy nie przyciągnęły uwagi prasy. Zainteresowali się nimi jednak naukowcy.

Bracia Rooseveltowie nie odnaleźli bowiem zwykłej owcy, lecz legendarny gatunek owcy dzikiej – *Ovis poli* (znanej też jako *Ovis ammon polii,* owca pamirska), opisanej przez Marco Polo już w 1256 roku. Po raz pierwszy zwierzę to trafiło do amerykańskiego muzeum. Gdy Muzeum Historii Naturalnej Fielda otrzymało skórę, czaszkę i precyzyjne pomiary owcy dzikiej, naukowcy byli wstrząśnięci. Od tak dawna nikt jej nie widział, że sądzono, iż gatunek wyginął. Szybko jednak zwrócił on uwagę również innych środowisk. Efektowne, spiralnie skręcone rogi – unikalne dla tego gatunku – okazały się wielką pokusą dla myśliwych. Bracia nie mieli pojęcia, że ich działania przyczynią się do niemal całkowitego wytępienia tego zwierzęcia.

Teraz Rooseveltowie ruszali tropem ostatniego dużego ssaka nieznanego nauce. Wierzyli, że jeśli zapuszczą się dalej niż ktokolwiek przed nimi – głęboko w Himalaje – czekać będzie tam na nich ostateczna nagroda. „Azja Środkowa […] to mekka naszych pragnień" – pisał Ted. Podobnie jak w przypadku *Ovis poli*, nie potrafili jednak wówczas przewidzieć niezamierzonych konsekwencji swojej wyprawy. Jedno było pewne:

Kup książkę
Poleć książkę

nikt nie wyjdzie z dziczy taki sam, a jeden z nich nie wróci do domu wcale.

Gdy statek odbił od brzegu i rozpoczął się pierwszy etap podróży, Kermita ogarnęło znajome, ściskające w żołądku uczucie niepokoju. „Traktuję to jako ostrzeżenie" – zapisał – „że wydarzy się coś nieoczekiwanego".

1

SZCZĘŚLIWA DOLINA

Szlak, który kiedyś wytyczał pradawną drogę przez największy kontynent na Ziemi, zaczynał się na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, po czym prowadził w wilgotne lasy deszczowe Birmy. Biegł wzdłuż rwącej rzeki o brzegach tętniących życiem, a potem wspinał się wysoko na grań tak wąską, że kopyta muła nieuchronnie ślizgały się w pyle, wzbijając go w powietrze tuż nad krawędzią sześciusetmetrowego urwiska.

Nie wszyscy wędrowcy na tym szlaku byli ludźmi. Małe nasiono utknęło w szczelinie drzewa. Jego korzenie oplotły pień, a potem zaczęły rozciągać się przez las, niemal bez końca. Był to figowiec bengalski, a jego system korzeni powietrznych podążał wzdłuż szlaku, jakby i on znał tę drogę.

Szlak prowadził przez Chiny i Tybet. Wilgotne lasy ustępowały rozległym, smaganym wiatrem sawannom – pustym, niegościnnym i odpychającym. Podmuchy wiatru pędzące wzdłuż szlaku zdawały się wołać do wędrowców, by zawrócili, bo niebezpieczeństwo narasta. Nad równinami wyrastały himalajskie szczyty – śnieg, lód i wiatr, stanowiące śmiertelne zagrożenie o każdej porze roku. Nie było namiotu dość mocnego, by wytrzymał górskie nawałnice, ani ognia dość

Kup książkę
Poleć książkę

gorącego, by ogrzał dłonie i stopy odkrywców. Zamiast tego zimno oplatało ich coraz mocniej, odbierając przytomność na dachu świata.

W tych ostępach żyły zwierzęta i rosły rośliny, których nikt wcześniej nie opisał. Pojawiały się ptaki wyglądające tak, jakby zostały odlane ze srebra – z każdym piórem ułożonym idealnie na swoim miejscu. W błotnistych sadzawkach pluskały dziwne stworzenia wodne, dłuższe od człowieka. Na drzewach huśtały się małpy z długimi, złotymi kępkami futra i jaskrawoniebieskimi twarzami. Jednak najbardziej zaskakujące zwierzę ze wszystkich kryło się głęboko w sercu tego szlaku – w ukrytym królestwie, do którego bram można było dotrzeć dopiero po wielu miesiącach morderczej wędrówki.

Dziś już nikt żywy nie może przejść drogą Rooseveltów. Szlak, którym szli, został starty z powierzchni ziemi: pokryto go asfaltem, a wiele lasów zniszczono. Ludzie, którzy niegdyś znajdowali schronienie w jego zielonych ścianach, dawno zniknęli – tak jak wiele gatunków, które napotykano po drodze. A jednak w ciszy dzikiej przyrody pozostał ślad ich obecności: szept w ocalonym bambusowym lesie.



DŹWIĘK LASU nocą różni się od spokojnego szumu dnia. Ciemność wyostrza zmysły, sprawiając, że przenikliwe pohukiwanie sowy czy cykanie świerszcza brzmi głośniej. Każde warknięcie z zarośli niesie złowieszczy podtekst. Każdy szelest liści może zachwiać pewnością nawet doświadczonego odkrywcy. Wyprawa dopiero się zaczęła – zaledwie jeden dzień marszu po szlaku – a już grupa po omacku błądziła w ciemnościach. Jeden z naukowców zniknął.

Kup książkę
Poleć książkę

Tai Jack Young spojrzał na ciemniejący szlak i poczuł nagły przypływ strachu. Herbert Stevens, angielski przyrodnik, zszedł ze ścieżki sześć godzin temu – i jeszcze nie wrócił. Chińska dzicz, zwykle kipiąca życiem, nagle ucichła. Nie było wiadomo, gdzie jest Herbert, ani nawet, czy wciąż żyje.

Szli z Birmy do Chin traktem zwanym „tylnymi drzwiami" – nazwanym tak ze względu na odległe, surowe i trudne wejście do Państwa Środka. Nie było strażnika granicznego, który by ich powitał, ani znaku, który oznajmiałby przekroczenie granicy. Szlak po prostu lekko się zwężał. Odkrywcy nawet nie zorientowaliby się, że weszli do Chin, gdyby nie powiedział im o tym Jack.

Tai Jack Young przedstawiał się po prostu jako „Jack", dla wygody osób anglojęzycznych. Jego nazwisko zostało już wcześniej zmienione – z Yang na Young – przez dziadka, Young Tak Cho, który uważał, że Amerykanom łatwiej je wymówić i że lepiej oddaje prawdziwą chińską wymowę. Jack miał zaledwie dziewiętnaście lat i był uderzająco przystojny: wysoki, z gęstymi włosami, które lubił zaczesywać do tyłu w pompadur. Uwielbiał nosić śnieżnobiałe koszule pod nowoczesnymi, trzyczęściowymi garniturami. Teraz jednak włosy miał potargane, a ubrania brudne.

Zatrudniono go w roli tłumacza i przewodnika wyprawy. Był najmłodszy w grupie, ale pod wieloma względami bardziej doświadczony niż jego pracodawcy. Doskonale znał Chiny – dzięki dzieciństwu spędzonemu w niewielkiej wiosce pod Hongkongiem oraz licznym podróżom z lat chłopięcych. Jego ojciec urodził się w San Francisco, matka w Guangdongu, nadmorskiej prowincji południowych Chin, lecz on sam nie był ani tutejszy, ani tamtejszy. Przyszedł na świat w Konie na Hawajach, terytorium wyspiarskim położonym pomiędzy

oboma krajami – niejako odzwierciedlającym jego własną, podwójną tożsamość.

Teraz Jack znajdował się na szlaku i bardzo chciał się wykazać. Podziwiał swobodę poruszania się Kermita Roosevelta w lesie. W Nowym Jorku skusił go prestiż braci i ich słynne nazwisko. Tu, w dziczy, młodszy z Rooseveltów imponował mu czymś innym. Kermit czuł się w swoim żywiole – bardziej sobą, gdy kłusem pokonywał ziemiste ścieżki, niż kiedy spacerował po betonowych chodnikach. Był człowiekiem, który przemierzył świat – od Afryki, przez Amerykę Południową, po Azję – a Jack, ledwie stojący na progu dorosłości, pozostawał pod wrażeniem jego dokonań. Tego, czego jeszcze nie dostrzegał, były słabości Kermita.

Jack poznał Kermita wcześniej tego samego 1928 roku, gdy Nowy Jork huczał od plotek, że dwaj najstarsi synowie byłego prezydenta Theodore'a Roosevelta szykują się do nowej wyprawy. Gdy tylko podróż została oficjalnie ogłoszona, do Teda i Kermita zaczęły napływać listy od ludzi w każdym wieku – nawet od całego zastępu skautów – z prośbami o możliwość dołączenia:

„Mam osiemnaście lat. Zawsze chciałem zobaczyć świat i to jest moja szansa".

„No dobrze, pułkowniku, to kiedy ruszamy?"

„Chciałbym pojechać z Panem na jedną z wypraw. W gazetach czytałem, że wybiera się Pan na kolejną. […] Mam jedenaście lat i moim głównym zajęciem jest chodzenie do szkoły – straszna sprawa".

Zamiast zgłaszać się bezpośrednio do synów Roosevelta, Teda i Kermita, Jack zwrócił się do ambasady chińskiej, gdzie pracował dorywczo, i przedstawił sprawę swojemu przełożonemu. Studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie

Nowojorskim i nie miał żadnych koneksji, lecz posiadał pewną umiejętność, której wyprawa bardzo potrzebowała. Znał języki i posługiwał się kilkoma chińskimi dialektami – a co więcej, jako dziecko podróżował z ojcem po południowo-zachodnich Chinach. Był młody i nigdy wcześniej nie pełnił roli przewodnika ani naukowca terenowego, ale wiedział, że jeśli ktoś taki jak Rooseveltowie da mu szansę, będzie potrafił się wykazać.

„Był drobnym, przystojnym młodzieńcem" – pisał Ted po podjęciu decyzji o zatrudnieniu Jacka. Natychmiast wysłano go do Muzeum Historii Naturalnej Fielda w Chicago, gdzie miał przejść „intensywny kurs" naukowych technik zbierania okazów. Kurator muzeum podchodził jednak do tego zadania sceptycznie. „Wątpię, by Chińczyka dało się wyszkolić w dwa tygodnie tak, aby był użyteczny dla wyprawy" – telegrafował do Rooseveltów.

Gdy zapadał zmrok, Jack coraz mocniej czuł na sobie ciężar oczekiwań. Grupa znajdowała się na krawędzi paniki. – „Mamy najwyżej godzinę do zmroku" – tłumaczył Kermit swojemu bratu, Jackowi i Suydamowi Cuttingowi, innemu przyrodnikowi biorącemu udział w wyprawie. – „Musimy podzielić się na zespoły poszukiwawcze w miejscu, gdzie Herbert zszedł ze szlaku. Wracamy do obozu przed nocą. Nie możemy ryzykować, że zgubimy kolejnych ludzi w ciemności". Zgodzili się: Ted i Suydam skręcili w lewo, Kermit i Jack w prawo. Zejście z bezpiecznej, ubitej ścieżki i wkroczenie w soczystą zieleń roślinności było dziwną, niemal lekkomyślną decyzją – ale nie mieli wyboru. Musieli odnaleźć Herberta.

Kup książkę
Poleć książkę

Kup książkę
Poleć książkę
Oceń książkę

Księgarnia internetowa
Lubię to! Nasza społeczność



W 1928 ROKU DWAJ NAJSTARSI SYNOWIE PREZYDENTA THEODORE'A ROOSEVELTA WRAZ Z NIEWIELKIM ZESPOŁEM NAUKOWCÓW I PRZYRODNIKÓW WYRUSZYLI W NIEBEZPIECZNĄ PODRÓŻ.

Uczestnicy wyprawy zostali wystawieni na próbę wytrzymałości fizycznej i psychicznej — zmagali się z chorobą wysokościową, potężnymi burzami śnieżnymi, atakami lokalnych bandytów, problemami ze zdrowiem i brakiem żywności. Dokonali tego, czego nie udało się osiągnąć przez lata wcześniejszych poszukiwań: przedstawili światu zachodniemu pandę wielką. Przy okazji udokumentowali krajobraz, który bezpowrotnie znikał, i przyczynili się do nadejścia nowej ery w takich dziedzinach jak biologia i ochrona przyrody.

W dniu, w którym bracia upolowali pandę w bambusowym lesie, ich życie zaczęło się rozpadać. Cień padł na nich w momencie, gdy obaj niemal równocześnie pociągnęli za spust. Następne lata przyniosły akty odkupienia i chwile radości, lecz Tybet i Chiny zmieniły Teda i Kermita na zawsze — nie mogli już powrócić do dawnego świata. Widząc negatywne skutki swojej popularności, zaangażowali się w ochronę przyrody. Ich działania pomogły zreformować podejście muzeów zoologicznych, które z instytucji głównie łowieckich stały się ośrodkami chroniącymi zagrożone gatunki.

W książce Bestia w chmurach Nathalia Holt ożywia te wydarzenia, tworząc porywającą, opartą na faktach opowieść o ambicji, walce o przetrwanie i niezłomnym duchu rodu Rooseveltów.

Patron medialny:

KONTYNENTY

ebook dostępny na: ebookpoint

ISBN 978-83-289-3547-1

cena: 59,90 zł

SPOTY

wydawnictwosploty.pl